

KS. ROMUALD NIPARKO

WSPOMNIENIE O KSIĘDZU ROMUALDZIE ŁUKASZYKU

Uchodził za specjalistę od redagowania biogramów do EK (Encyklopedia Katolicka pod redakcją Feliksa Gryglewicza, Romualda Łukaszyka, Zygmunta Sułowskiego. T. 1-3. Lublin 1973-1979). Wypracował ich formę. Posiadał umiejętność syntetycznego ujmowania życia ludzkiego niełatwo przecież poddającego się definicjom i ramowym ujęciom. Trudne to jest zadanie. Trzeba bowiem nazwać człowieka, dać jakby tytuł jego życiu, nadać nowe imię. Takie imię, które charakteryzowałoby twórcę i zarazem usprawiedliwiałoby jego obecność w EK.

Nikt się nie spodziewał, że gdy redaktorzy poszczególnych działów EK ustalać będą listę haseł na literę Ł, on nie będzie już rozstrzygał, kogo umieścić a kogo pominąć, że wśród wytypowanych nazwisk na tę literę znajdzie się również jego nazwisko. W EK bowiem przyjęto zasadę, której śp. ks. Łukaszyk przestrzegał z żelazną konsekwencją, zamieszczania biogramów wyłącznie osób zmarłych.

Gdyby próbować zdefiniować jego osobę, tak jak po tylekroć on to czynił w stosunku do innych, to powstaje jedno określenie: twórca — ojciec EK. A gdyby spojrzeć jeszcze na jego twórczość pod kątem, jak tworzył, to można jeszcze tę definicję uzupełnić określeniem: pasjonat.

Niewątpliwie EK jest dziełem jego życia. To dziecko rodzące się w wielkich bólach i nie przez wszystkich chciane. EK mająca ambicję utrwalenia bogatego dorobku kultury chrześcijańskiej, w tym i polskiej, nie zawsze spotykała się z proporcjonalnym do rangi, jaką się jej zaczęło dość szybko i powszechnie przypisywać, zainteresowaniem i życzliwością wszystkich tych ludzi, w których rękach złożone były losy dzieła.

Nie przerażały go te trudności. Angażował się w pracę całym sobą, swoim człowieczeństwem i kapłaństwem. Jako człowiek dał wszystkie swoje siły, zdolności i umiejętności. Jako kapłan upatrywał w tej pracy specyficzną formę posługi duszpasterskiej. EK miała przecież ostatecznie na celu zbliżyć ludzi do siebie, ludzi o różnych światopoglądach, jednocząc

ich wokół wartości chrześcijańskich i tak bardzo ludzkich jednocześnie. Miała też pomóc w pogłębianiu więzi człowieka z Bogiem. Zdawał sobie sprawę z potrzeby tej formy apostolatu słowa pisanego we współczesnej rzeczywistości i chciał ją spełnić jak najlepiej, aż do zapomnienia o sobie, rzec by trzeba — aż do śmierci.

Ci, którzy z bliska patrzyli na to, ile i jak pracował, wyrażali często obawę, że może się to, po ludzku mówiąc, źle skończyć. Nikt jednak nie dopuszczał myśli, że to się może stać faktem i to tak szybko.

Przez jedenaście lat był moim przełożonym. Jeszcze dłużej mieszkałem z nim pod jednym dachem. Stało się regułą od początku kontynuowanie pracy redakcyjnej, po godzinach przepisanych regulaminem, w jego mieszkaniu prywatnym aż do późnych godzin nocnych. Najczęściej robił to sam. Nierzadko zapraszał do siebie różnych specjalistów dla przekonsultowania trudnych kwestii. Był w tym niespożyty i czynił to systematycznie.

Marzył i zabiegał o to, aby redakcja nie miała wyłącznie charakteru biura czy zakładu naukowego, lecz aby można w niej było znaleźć coś z atmosfery domu. Domu, w którym jest sprawiedliwy podział pracy, sumiennosc w wywiązywaniu się z powierzonych zadań, wzajemna życzliwość. Wiedział też, że każda solidna praca musi być odpowiednio honorowana. Nie pomijał więc i troski, aby wynagrodzenie za nią było stosowne.

Jako przełożony nie stwarzał dystansu w stosunku do podwładnych. W rozmowach zarówno prywatnych, jak i roboczych nigdy nie dawał odczuć swego stanowiska. Rozmawiał chętnie i z wszystkimi, choć niekiedy unikał spotkań, zwłaszcza z autorami zgłaszającymi zastrzeżenia lub wręcz nie godzącymi się na ingerencję w ich teksty. Miał potrzebę mówienia. Z równym zaangażowaniem rozprawiał na tematy naukowe, dając niekiedy długi obfitujący w szczegóły wykład, jak i o sprawach błahych, codziennych, małych. Cieszył się, gdy znajdował chętnych słuchaczy. Nic wtedy nie było przeszkodą: ani późna pora, ani miejsce. Równie dobrze mówiło mu się na korytarzu konwiktu, w którym mieszkał w dwu pokoikach, jak i na uczelni, ulicy, w trolejbusie.

Wykazując zadziwiająca fachowość w dziedzinie wiedzy, którą uprawiał, mógł bez końca przytaczać poglądy autorów urozmaicając je bogactwem interesujących detali z ich *curriculum vitae*. Z dużym znanstwem mówił też o sprawach codziennego życia zdradzając, nie zawsze spotykaną u ludzi nauki znajomość wszystkich związanych z nim trosk i kłopotów. Gdy tylko czas mu pozwalał, kilka dni przed świętami wyjeżdżał do matki, by towarzyszyć jej w pracach domowych i w przygotowaniach do świąt. Więzy z matką i braćmi, a także z dalszą rodziną, były u niego szczególnie silnie rozwinięte.

Z domu rodzinnego wyniósł nawyk rzetelnej ofiarnej pracy oraz umiłowanie Kościoła i ojczyzny. Gdy na początku lat pięćdziesiątych stracił przedwcześnie ojca, cały ciężar wychowania i przygotowania do samodzielnego życia, jego i dwóch młodszych braci, spadł na barki matki. Wywiązała się z tego zadania znakomicie. Wspominał ją nie bez wzruszenia nie wiedząc, że tej nie oszczędzanej przez los kobiecie, o której zdrowie i życie tak drżał, przyjdzie stanąć nad jego grobem. Stała więc dostojna, milcząca, pogodzona z faktem, że Bóg przed nią powołał do siebie nie tylko męża, ale i pierworodnego syna, zyskując, jak w ciągu całego swego pracowitego życia, powszechne uznanie i szacunek wszystkich uczestników uroczystości pogrzebowych.

Łączyły go też silne więzy z rodzinną archidiecezją poznańską, do której po synowsku był przywiązany i której zawsze świadomie i chętnie do końca służył. Wracał do niej z radością na każde święta. Służył wtedy pomocą na ambonie i w konfesjonale. Związał się na trwałe z farą poznańską przez kult, jaki miał do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Ale chętnie bywał też w Zaniemyślu i w swojej Krobi. Znał kościoły i ich zabytki oraz wielu księży. Potrafił godzinami przytaczać różnego rodzaju ciekawostki, anegdoty z dziejów diecezji i z życia duchowieństwa wielkopolskiego. On też zwykle przekazywał najświeższe wiadomości z życia archidiecezji zainteresowanym w Lublinie.

W przyпыłwie szczerości, gdy ciężar, jaki dźwigał, mocno go przytłaczał, dawał upust nostalgii za pracą parafialną, za wiejską plebanią i wilczurem, z którym chadzałby na spacer do lasu.

Był wrażliwy na piękno. Lubił kwiaty. Miał je w mieszkaniu niemal przez okrągły rok. Przy całym zaangażowaniu w pracę dydaktyczną i redakcyjną nie zapominał i znajdował czas na to, by je kupić. W pracy towarzyszyła mu często muzyka klasyków. Urlopy spędzał nad morzem.

Obdarzony niezwykłą, fenomenalną pamięcią i wyobraźnią potrafił być niezawodnym przewodnikiem po miastach, w których nigdy nie był, a które znał tylko z lektury.

Ostatnią znaczniejszą uroczystością, jaką przeżył, był jego srebrny jubileusz kapłaństwa, odprawiony w gronie współpracowników w kapłaństwie i w parafii rodzinnej. Odprawił go również w redakcji EK. Było to jednocześnie pożegnanie, choć nikt tego nie przypuszczał. Od tego momentu zaczął coraz rzadziej bywać w redakcji, gdyż coraz dotkliwiej odczuwał dolegliwości choroby.

Było to pożegnanie przy ołtarzu, za który posłużyły biurka redakcyjne, a wraz z ofiarą Chrystusa została przyjęta ofiara jego życia, które było służbą dla braci aż do śmierci.